

# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## Aleksandra z Chomętowskich Borkowska.

przez Zofię Urbanowską.

Dziwnym zrzędzeniem losu, przypada mi zawsze pisać pośmiertne wspomnienia o bliskich sercu osobach. Dziewięć lat upływa od czasu, jak na tem samym miejscu donosiłam czytelnikom *Wieczorów Rodziny* o zgonie Maryi Julii Zaleskiej, której życie stawiałam za przykład samopomocy i wytrwałości. Dziś spełniam smutny obowiązek mówienia o stracie najczcigodniejszej niewiasty, która objawszy kierunek literacki *Wieczorów* po śmierci M. J. Zaleskiej, przewodniczyła im do tej chwili, to jest przez dziewięć lat, rozumną myślą i dzielnym piórem: o ś. p. Aleksandrze z Chomętowskich Borkowskiej, zmarłej w Warszawie dnia 24 Lutego, o godzinie 12-tej w południe. Życie jej jest wymownym przykładem, jakich cudów dokonywa wielka miłość bliźniego, i w jaki sposób z drobnych ziarenek piasku góry powstają.

Czytelnicy nasi dobrze zapewne pamiętają, drukowane w zeszłym roku w *Wieczorach*, dwie powieści: *Nad Bałtykiem* i *Panna Marychna z Oporowa*—a są pewnie między niemi tacy, którzy znają inne, dawniej wydane książki dla młodzieży tej autorki. Jeżeliście czytali choć jedną z tych książek, osnutych zawsze na tle dziejów ojczyźtych, to macie już wyobrażenie o rodzaju ljej

talentu, i pięknej, jędrnej, czystej polszczyźnie, żadnym obcym nie skażonej wyrazem. W *Wieczorach Rodziny* bywało dużo pomniejszych artykułów pióra pani A. Borkowskiej, różnej treści, niepodpisanych — dla tego czytelnicy nasi nie spotykali się z nazwiskiem, budzącem

powszechną cześć, nie tylko jako autorki, ale jako kobiety. Dla nieznających jej osobiście, lub znających tylko z pism, opowiem tutaj kim była i czego dokazała — tych zaś co znali ją bliżej, proszę, aby raz jeszcze spojrzeli ze mną na sylwetkę postaci szlachetnej, która w tych dniach na zawsze od nas odeszła, zostawiwszy za sobą ślad świetlany.

Mało kto z osób, mieszkających w parafii św. Krzyża, nie spotykał przez lata całe w rannych godzinach niewiasty wysokiego wzrostu, okazałej budowy, zawsze czarno i bardzo skromnie ubranej, idącej wolnym krokiem ulicą Berga do kościoła, lub z powrotem w kierunku ulicy Mazowieckiej, z głową nieco pochyloną i oczami, z powodu krótkości wzroku, w ziemię utkwionemi. Czarność włosów, cera śniadawa, rysy twarzy regularne, ale nieco surowe, nacechowane wyrazem wielkiej powagi i skupienia, wrażały się w pamięć każdemu,





kto je choćby raz widział. Komu jednakże danem było widzieć tę samą twarz w otoczeniu domowym lub w towarzystwie, ożywioną rozmową, wypogodzoną, temu zdawało się że widzi inną osobę zwłaszcza gdy nabrzmiałe od pracy wytężonej powieki, podniosły się, ukazując oczy rozumne, łagodne, pełne niezgłębionej dobroci. Kto zaś słyszał panią A. Borkowską mówiącą z zapalem o poezji, sztuce i sprawach społecznych, lub wypowiadającą gorąco szlachetne zamiary, tonem niskim, harmonijnym, zdradzającym męską siłę duszy, obok wielkiej głębi uczucia, zapominał, że ma przed sobą sędziwą, około siedemdziesięciu lat liczącą matronę — bo wrażliwość, zapal, energia, były w niej młodzieńcze.

W skromnem jej mieszkaniu przy ulicy Mazowieckiej zbierali się przedstawiciele najwybitniejszej inteligencji, towarzystwo najwykwintniejsze; osobistość bowiem gospodyni domu, jej gościnność uprzejma, jej szeroka i gruntowna wiedza, obok skromnego o sobie mniemania i znicwałającej w obejściu prostoty, miały pociągający urok. Najwybitniejszą zaś cechą jej charakteru, była dobroć — i dar budzenia ufności nie tylko w tych, którzy bliżej niej byli, ale i tych co dalsze niewali z nią stosunki. Więc spieszyli do niej ludzie z troską serdeczną, mniejszą czy większą, z niedolą wszelką — i nie było chyba takiej, którejby nie usiłowała złagodzić; łez, którychby nie pragnęła osuszyć; smutku, któregooby choć w części nie starała się rozproszyć. Dla tego ją też ogólnie kochano!

Pani Aleksandra Borkowska urodziła się w r. 1828 w powiecie sandomierskim w Usarzewie, z matki Konstancyi z Orłowskich i ojca Franciszka, człowieka wysoce ukształconego i niezwykłych zdolności, który nie miał wpływu wywierającego na umysł córki. W ogóle rodzice dali bardzo staranne wychowanie s. p. Aleksandrze, a najmilszem jej podobno zajęciem od lat najmłodszych, była praca umysłowa. Historia zwłaszcza najwięcej ją pociągała, a w bujnej wyobraźni dziewczęcia snuł się już wątek różnych powieści. Była to już drobna wskazówka tego, czem miała zostać w przyszłości. Historię też zmarła później ze szczególnem uprawianiem, a w jej opowiadaniach historycznych znać nie tylko gruntowną znajomość wydarzeń, ale obyczajów ówczesnego i charakteru epoki. Ludzie dawniejsi bowiem, nie tylko inaczej ubierali się i mieszkali niż my, ale inaczej mówili, inaczej czuli, myśleli i inaczej pojmowali życie. Prace p. A. Borkowskiej są nawskroś prawdą historyczną przeniknięte, i nikt w nich nie znajdzie najdrobniejszego szczegółu, nie odpowiadającego ściśle przedstawianym czasom.

Jako dziecko jeszcze lubiła niezmiernie zwierzęta, którym nie pozwalała czynić krzywdy, i któremi opiekowała się, gdy były chore, — a jako dorastająca panienska, słynęła ze swej dobroci dla służby i wieśniaków. Te przymioty serca jeszcze więcej miała sposobność rozwinać, gdy zaślubiona Józefowi Duninowi Borkowskiemu, właścicielowi dóbr Żelizna, zamieszkała na Podlasiu. Jak wielką tam pozyskała sobie miłość włością, dowód w tem, że choć trzy lata tylko żyła wśród nich, pamiętali o niej aż dotąd — bo gdy zeszłego lata bawiąc w tamtych stronach, odwiedziła Żeliznę, a wieść o jej przybyciu rozeszła się po wsi, zbiegli się do niej starsi ludzie witając łzami radości dawną panią, która im niegdyś tyle dobrego świadczyła, że nie zapomnieli o niej przez lat czterdzieści! Te łzy wdzięcznego ludu, złagodziły goręć jej własnych łez, wylanych przy oglądaniu miejsc,

gdzie tak krótko była szczęśliwą, — mąż bowiem p. A. Borkowskiej po trzyletniem z nią pożyciu, zmarł prawie nagle na cholere. Nie tu miejsce mówić o okolicznościach, w jakich młoda wdowa opuściła Żeliznę, a które powszechnie dla niej obudzić musiały uwielbienie.

Przybywszy do Warszawy, gdzie już mieszkała jej matka i rodzina, p. A. Borkowska oddała się pracy literackiej, w czem zachęcał ją brat jej Władysław, badacz i pisarz historyczny. Pierwszem jej dziełem były napisane wspólnie z p. J. Śmigielką, *Obrazki z życia świętobliwych Polaków i Polek*, w r. 1859; drugim *Wspomnienia z przeszłości*, w r. 1860, wydane powtórnie w r. 1877; trzeciem *Maryja Klementyna Sobieska, opowiadanie o wnuczce króla Jana III*, w r. 1861; czwartem *Powieści i opowiadania dla młodego wieku*, w r. 1874. Następnie napisała wspólnie z p. M. J. Zaleską *Wakacje Janka i Zosi*, — a ostatniemi jej powieściami były te, o których wspomnieliśmy tutaj na samym początku, że je *Wieczory* drukowały w roku ubiegłym. Oprócz tego, wydała parę książek do nabożeństwa, a mianowicie: *Ottaryk żałobny* i *Ottaryk codzienny*. Wszystko co napisała p. A. Borkowska, wyliczyć trudno — a pisała bardzo wiele, zasilając opowiadaniem historycznym *Rozrywki dla dzieci*, *Seweryny z Żochowskich Pruszkowej*; wydając wspólnie z J. Śmigielką *Kółko Domowe*, pismo dwutygodniowe, poświęcone rodzinom polskim, które rozpoczęte w r. 1861 prowadziła przez lat siedem. Następnie zaczęła wydawać *Kronikę Rodziną*.

Pismo to ukochane przez siebie, prowadziła przez lat dwadzieścia ośm, nie szczędząc dlań pracy, zdrowia, ani ofiar materialnych — a zasadą jego była miłość Boga, bliźniego i ziemi rodzinnej. Drukowało ono cenne pamiętniki i listy takie, jak: *Listy z podróży Antoniego Edwarda Odyńca*, *listy Mickiewicza, Chodźki, Zana, Domejki, Bohdana Zaleskiego* — słusznie też niedawno nazwano je „skarbnicą pamiętek swojskich i drogocennych”. Oprócz tego w artykułach oddzielnych, pisanych zawsze jasno, zwięźle a gorąco, stylem jędrnym, oryginalnym — nigdy nie podpisywanych — redaktorka wskazywała kobietom sposoby oświecania umysłu i uzacniania serca, zachęcała do pracy i zaznajamiała z różnemi jej rodzajami, mogącemi najskuteczniejszy, rodzinie i społeczeństwu przynieść pożytek.

Życie w ogóle p. A. Borkowska wiodła bardzo pracowite i nie odpoczywała w chwilach najcięższych dla siebie. Każdego też zachęcała, aby w pracy szukał zapomnienia strat niezapomnianych, i lekarstwa na bóle niezagojone. Sama traciła kolejno ukochane istoty: męża, matkę, braci. O starszym z nich wspominaliśmy już, że był badaczem historycznym; młodszy Stanisław, doktor medycyny, ożeniony z córką poety Antoniego Edwarda Odyńca, Teresą, znany psychiatra, wzbogacił literaturę medyczną pracami naukowymi. Brat ten szczególnie przez nią ukochany zostawił czterdzieści córek, które p. Borkowska jak własne miłowała dzieci.

(d. n.)



# NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Bawić się nikt waszej królewiczowskiej mości nie zabrania, lecz nie naśladować nieprzystojnych ruchów, bo tak robi tylko Bartholo! — rzekł pocichu pan Opaliński.

Lecz szept ten doszedł czujnego ucha królowej, która spojrzawszy ostro, rzekła w swym rodowitym języku:

— Nieprzystojnie też jest porównywać królewicza do małpki!

I surowo nań spojrzała, usuwając jednocześnie jedno skrzydło wachlarza.

Karzelek zrozumiał znak, stanął przed ochmistrem, przekrzywił głowę, przyklnął jedno oko, założył dwie pięście jedną pod drugą i przez otwór w nich jak przez lunetę przyglądał się przez chwilę Opalińskiemu. Potem szastnął nogą w bardzo niezgrabnym ukłonie i rzekł tymże samym co i królowa językiem:

— Przypatrzyłem ci się, ale i ty mi się przypatrz, żebyśmy się w razie nawzajem za małpkę nie wzięli.

— Precz, szkaradny Diavolo! — zawołał królewicz.

Karzelek, którego w ogóle Diavolem nazywano, wykręcił się na pięcie, wywinął koziołka kilkakrotnie, a skacząc po całej komnacie, zabawiał całe zgromadzenie. Tylko królewicz patrzył ponuro, nie dzieląc ogólnej wesołości.

— Czemuś taki zasepiony? — spytała matka, patrząc nań surowo.

— Nie lubię Diavola!

— Dla czego?

— Nie pozwolę, żeby się wyśmiewał z mego ochmistra, rzekł porywco Zygmunt.

Bona nic nie odrzekła na razie, tylko gniewnie błysnęła na syna oczami.

Po chwili zaś przez zaciśnięte zęby szepnęła:

— Niewdzięczny synu!

Królewicz zarumienił się łyż mu w oczach stanęły i tym zażwawionym okiem spojrzął na matkę.

Bona zaś jakby chciała dać ujście gniewowi, którym kipiała za najmniejszym odezwaniem się syna nie według jej myśli, zawołała porywco:

— Diavolo!

Karzelek jednym susem znalazł się u stóp swej pani i ukląkszy pochylił głowę, a Bona zrzucając z jego głowy czerwoną, spiczastą czapkę, targada go za włosy, a uderzywszy, zawołała gniewnie:

— Precz!

Diavolo nie pisnął nawet, choć zaczerwieniony policzek i garść wyrwanych włosów świadczyła, że silna dłoń rozgniewanej królowej nie żartowała bynajmniej. Skulił się tylko i ukrył w fałdach jej szaty.

Sceny te śnać powtarzały się dość często, bo nikt im się nie dziwił i nikt na nie nie zważał; owszem, zaledwie znikł tak boleśnie skarcony karzelek, ozwały się ciche dźwięki gitary, zawtórowały jej coraz silniejsze tony innych nstrumentów, popłynęła jakaś pieśń dziwnie rozmarzoną melodyą, a na środek wysunęły się cztery młode, krótko ubrane dziewczeczki. Z początku szły, kłaniając się w takt śpiewanej pieśni, potem zaczęły tańcować kołysząc się i przeginając zręcznie swe postaci, a potem ujawszy za dwa końce trzymane dotąd spokojnie, przezroczyście złotem tkane szale, powiewały niemi biegnąc ku królewiczowi i składając mu ukłony.

Im więcej wiewały szalami, tem cudniejsza woń rozedziała się po całej komnacie, napełniając upajającą atmosferą.

Twarz Bony przed chwilą gniewna uspokajała się powoli, przyklnęła powieki i z upodobaniem wsłuchiwała się w śpiew i muzykę, mało zważając na tanecznice. Za to często spoglądała na syna, który z początku siedział z nawpół skrzywioną do placzu twarzą, potem oparł głowę o wysoką poręcz krzesła i patrzył na tanecznice. Uśmiechał się, klaskał nawet w dłonie, nie miał jednak tej wesołości stosownej jego dziecięcemu wiekowi.

— Spać ci się chce? — spytała nagle Bona.

— Nie mam...

— Więc czemu się nie bawisz?

— Jąbym się bawił, ale inaczej...

— Jako inaczej?

— Biegać, tańczyć z niemi...

— Nie rozumiesz tego, że królewiczowi, a tem więcej królowi łączenie się z dworem i niższej kondycyi osobami, nie przystoi — mówiła Bona, patrząc przenikliwie na syna.

— Ach, jak to nudno być królewiczem! — westchnął Zygmunt.

— Mości ochmistru, dajecie zły kierunek myślom naszego syna — rzekła porywco królowa, zwracając się do Opalińskiego i jednocześnie skinęła złożonym wachlarzem. Siniora zaś baczną na każdy znak swej pani, nachyliła się i poczęła coś szeptać królewiczowi, który, im więcej ochmistrzyni skłaniała głowę, tem więcej się od niej odsuwał i w inną patrzył stronę. W tej chwili urzędnik dworski wszedł i kłaniając się, podniesionym głosem zawołał:

— Ichmość posłowie sejmu Piotrkowskiego proszą o posłuchanie

— Niech wejda! — rzekła wyniosłe królowa. I zapomniawszy się skinęła złożonym wachlarzem. Siniora, myśląc, że to znak dla niej, wysunęła się naprzód, a Diavolo wyglądający jednym okiem z pomiędzy fałdów sukni, również wysoczył, co wywołało półuśmiechy w całym otoczeniu.

— Precz! — zawołała gniewnie królowa.

Alenini i karzelek spiesznie wrócili na swoje miejsca, a jednocześnie weszli Andrzej Krzycki i Stanisław Karnkowski, przybrani w biskupie szaty, a za nimi reszta poselstwa, złożona z kilku znakomitych panów koronnych.

Twarz Bony przed chwilą gniewna miała teraz wyraz zadowolenia i pogody, oczy błyszczały radością, a cała jej postać przybrała powagę i majestat stosowny do wielkiego znaczenia chwili. Królewicz też wyprostował się, podniósł opartą o tył krzesła głowę i z ciekawością na przybyłych spoglądał.

Przybyli oddawszy ukłon stosowny do swej godności, z niemałym zdziwieniem spojrzeli na otoczenie i cały dwór przyszłego ich monarchy. Obejrzelni się dokoła, jakby chcieli się przekonać, czy nie pomylili się i nie weszli do jakichś królewien. Powstrzymali jednak swój podziw, zbliżyli się do królowej i jej syna, a Krzycki zwróciwszy się doń nieco, począł w te słowa:

— Szczep winny wydaje jagody takiej dobroci i mocy, jaką sam jest przejęty, a syn po ojcu dziedziczy zwykle wielkie przymioty umysłu i serca. Wychodząc z tej zasady stany koronne, zebrane na sejmie w Piotrkowie dnia 18 decembra uradziły i jednozgodnie uznały, ażeby dla uniknięcia wielu niefortunnych klęsk, za życia jeszcze najmiłościwiej panującego nam monarchy Zygmunta 1 go, oddać koronę synowi jego Zygmunтови i uczynić go naszym królem. Przeto w myśl sejmu, a za zezwoleniem najmiłościwiej nam panującego ojca waszego, ofiarujemy ci najjaśniejszy panie koronę.

Biskup płocki skończywszy swą mowę, skłonił się nieco, toż samo uczynił biskup przemyski i obadwaj spojrzeli przyjaźnie na pana Piotra Opalińskiego, stojącego za krzesłem królewicza.

Zygmunt patrzył ciekawie na mówiących, a gdy ochmistrz szepnął mu na ucho, wstał i lewą rękę wyciągnął przed siebie, prawą położył na sercu i z powagą nad wiek swój dziecięcy, odpowiedział:

— Kraj mój i naród miłuje, postaram się więc, ażeby przez niego miłowanym był wzajem.



— Niech żyje król nasz, Zygmunt drugi — zawołali z całą serdecznością przybyli z biskupami panowie.

A z za fałdów szaty królowej Diavolo przypatrywał im się ciekawie, a potem nagle wybuchnął piskliwym głosem:

— Niech żyje królowa i król!

Przybyli ze zdziwieniem spojrzeli w stronę wychodzącego głosu, i ujrzeni wyglądającą z za sukni królowej czapkę czerwoną, dziwnego kształtu, a z pod niej niemile, świdrujące wejście karła.

Niejeden rzucił porozumiewający wzrok na najbliższej stojącego towarzysza, to znów podniesiono oczy na Bonę, jakby chciano zapytać:

— Co to znaczy?

Królowa tymczasem strzepnęła po sukni złożonym wachlarzem, czapka skryła się w jej fałdach. Zaraz też na dany znak ozwały się śpiewy i muzyka i dalej prowadzono przerwany wejściem posłów taniec. Biskupi, spodziewający się zastać dwór i otoczenie stosowne do ważności chwili, spuścili ze smutkiem

— Czy się to prędko skończy? — szepnął do pana Piotra.

— Zapewne wkrótce, trzeba mieć cierpliwość na wszystko — odrzekł tenże.

— Ach, jak to nudno siedzieć tak wciąż na jednym miejscu! — westchnął królewicz.

— Co tam szepcesz wciąż! — zawołała królowa.

Skończyły się wreszcie śpiewy i tany, a Karnkowski skorzystawszy z tej przerwy, wstał i podszedłszy do Bony rzekł, oddając należny ukłon.



Zamek w Olyce.

głowy, na twarzach zaś przybyłych z nimi panów, przed chwilą tak wesołych i uśmiechniętych, odmalował się zawód i nuda.

Opaliński stojąc za królewiczem patrzył przed siebie, lecz po jego spokojnej twarzy przepływała od czasu do czasu fala krwi, jakby rumienił się ze wstydu, że jego wychowaniec zajmuje się rzeczami błahemi oraz zabawą zgoła dla jego wieku niestosowną.

Oczy Bony biegały niespokojnie po wszystkich twarzach, zsuwała i rozsuwała wachlarz, dając znaki zaufanym sobie osobom, szeptała też coś do siniory, która kilka razy nawet wyszła z komnaty, a wróciwszy zdawała sprawę swej pani.

Królewicz znów miał minę jakby chciał jak najprędzej wyrwać się i pobiedz do rówieśników, za którymi najwidoczniej tęsknił, a których nie miał w codziennem swem otoczeniu.

— Miłościwa nam królowo, pozwól, że przedstawimy prośbę od całego narodu!

— Zezwalam — rzuciła królowa, spoglądając przymrużonemi oczyma na biskupa.

— Syn wasz i miłościwie nam panującego króla Zygmunta, przez sejm na króla obrany, od tej chwili należy do narodu, wychowanie więc jego pójść musi teraz zgoła innym torem. Musi on się sposobić do rządów, które

ma sprawować, a przeto w wielu naukach ćwiczyć, a też i rycerskie poznać sprawy. Przeto opuścić mu trzeba zabawy, którymi dotąd się zajmował, a przejść pod opiekę mężów, którzy kształcać jego umysł i serce, do rządów sposobić będą \*).

— Oddawna tego pragnęłam, wszelako jako matka, mam prawo żądać, ażeby syn nasz, jako w dziecięcym jeszcze wieku będący, z pod mojej opieki nie był usunięty — rzekła królowa układnie.

Zaraz jednak porywczó dodała:

— Ani sejm, ani król, pan nasz i małżonek, od tych praw odsądzić mnie nie może.

— Miłościwa królowo, któżby śmiał to uczynić, chodzi tylko o nadanie właściwego kierunku jego wychowaniu; o to też

\*) Historyczne.



upraszam, bo takim jest żądanie sejmu i monarchy, a tuszę sobie i waszej królewskiej mości, która wysokim rozumem swoim, pojmuje wielkie obowiązki, jakie spadają na młodziutką osobę króla, a jako matka pragnie jego pomyślności i szczęścia — dodał dwornie Karnkowski.

— Możecie wierzyć ekscelencyo, iż więcej pragnę szczęścia naszego syna, niżeli własnego.

To mówiąc, Bona skinęła głową, a wstawszy z wysokiego swego krzesła z wielką wspaniałością szła przez komnatę, rozmawiając coś jeszcze z obu posłami.

# W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

## Przyrządy używane do badania otchłani morskich.

Sondowanie. Oddawna już uczeni gorliwie zajmują się geografją podmorską, czyli *hydrografią* i oddawna liczne son-



Na żer.

Królewicz widząc, iż matka wstaje, zerwał się szybko, a klaszcząc w dłonie, zawołał:

— Ach, jak to dobrze, że już się skończyło!

Bona surowo nań spojrzała, a jeszcze surowiej rzekła do Opalińskiego:

— Mości ochmistrzu, źle sprawujecie swoje obowiązki, syn nasz nabywa coraz gorszych obyczajów!

Twarz pana Piotra okryła się purpurą, a Krzycki idąc wraz z Karnkowskim obok królowej, spojrzał nań porozumiewająco i uśmiechnął się nader przyjaźnie.

(d. c. n.)

dowania robione były przez inżynierów marynarki, a to w tym celu, aby poznać głębokość morza w rozmaitych punktach. Jednakże przez długi czas określano głębokość morza jedynie w bliskości wybrzeża, cała uwaga marynarzy zwróconą była na to, aby odkryć miejsca niebezpieczne dla żeglugi. Rzecz naturalna, iż niebezpieczeństwo grozi okrętom głównie w pobliżu wybrzeży; na otwartym Oceanie żeglują one bez obawy. Ponieważ badania prowadzone były na nieznacznej głębokości, nie śpieszono się przeto z wynalezieniem udoskonalonych przyrządów do badań głębinowych.

Dopiero gdy pomyślano o przeprowadzeniu lin telegraficznych (câbles), które muszą być głęboko zanurzone na dnie morza, uznano wówczas, iż trzeba koniecznie wymierzyć dokładnie głębokość każdego punktu, gdyż lina powinna spoczywać wszędzie na samym dnie morza, inaczej bowiem naróżną byłaby na ciągłe zrywanie się. Trzeba tedy poznać





dokładnie, jak wygląda dno morskie, na którym lina leżeć będzie. Nie dosyć tego, wiedzieć należy także, jaki jest skład gruntu i dlatego ołowianka przyniesie powinna małą próbkę dna morskiego. Aby dopiąć tego celu, zaczęto przekształcać dawne ołowianki i wyrabiać coraz to doskonalsze.

Ołowianki wraz z próbką dna morskiego przyniosły z głębin pierwsze zwierzątka. Ale przy dokładnych badaniach zwierząt głębinowych *sondowanie* stanowi jedynie wstępną część pracy, po której następuje *dragowanie*!

Dragowaniem nazywa się włóczenie po dnie morskiem sieci, w których zwierzęta zostają uwięzione; dragowanie stanowi najdłuższą i najważniejszą część pracy naukowej. Gdy rozważymy na jak olbrzymią głębokość spuszczone sieć, oraz jak wielką trudność przedstawia kierowanie onym przyrządem w głębinach, to w zdumienie wprawi nas ogrom dokonanego dzieła, oraz potęgę nauki, dzięki której w otchłaniach, uchodzących niegdyś za bezdenne, zdołano odkryć nowy świat, zasiedlony niezliczonymi mieszkańcami; istnienie ich, zdawało się, na wieki będzie ukryte przed nami z powodu przestrzeni dzielącej je od nas, „*Draga* jest prawicą człowieka, sięgająca dna otchłani”. Wróciła ona z tantąd obarczona bogactwem i zapowiedziała jeszcze świetniejsze nadzieje na przyszłość.

A jednak przyrząd, który do dziś dnia służy do wielkich dragowań, przynosi drobnuchną zaledwo cząsteczkę tego, co Ocean kryje. Jestto kropelka wody za każdym razem wydobywana, a gdy zastanowimy się jak wielkie obszary Ocean pokrywa i jaka nieskończoność stworzeń w niem żyje, przyznać musimy, że to co dotychczas zrobiono, jest niczem w porównaniu z tem co jeszcze pozostaje do wykonania. Nie zraża to bynajmniej uczonych, przeciwnie, zapał i gorliwość ich są zdwojone, ponieważ zdają sobie sprawę ile rzeczy pozostaje do zbadania, a zarazem widzą, jakie wspaniałe rezultaty już osiągnęli.

A teraz zapoznamy bliżej naszych czytelników, jak wygląda *ołowianka* (sonda) i *draga*, t. j. dwa główne przyrządy, za pomocą których, zbadano otchłanie morskie.

*Ołowianka* używana do mierzenia głębokości morza składa się z mocnego drutu oraz z zawieszzonego na jego końcu ciężaru, którzy spuszcza ją do morza. Gdy ciężar oprze się o dno, to drut przestaje być naprężonym, wówczas aby dowiedzieć się jaka jest głębokość morza w tem miejscu, trzeba tylko wymierzyć długość odwiniętego drutu. Rysunek ołowianki podamy w następnym numerze.

(d. c. n.)

## OŁYKA.

Miasteczko Ołyka malowniczo położone w gubernii wołyńskiej, w powiecie dubieńskim. Po pożarach w r. 1805 i 1823 dotąd dźwignąć się nie mogło i przedstawia obecnie smutny obraz małej i brudnej miłośnicy, za wyjątkiem zamku przedstawionego na załączonej rycinie.

## NA ŻER.

Minęła noc ciemna i pierwsze brzaski dnia zabłysły na wschodzie, budząc do życia uśpioną przyrodę. Ruszyło się więc z miejsc spoczynku wszystko co żyje, i poczęło się krzątać pilnie około spraw swych codziennych.

Nagle ponad lasem siniejącym zdała wzniosła się czarna jakowaś chmura i zaciemniła szmat nieba, a dziwny szum, niby gwałtownego wiatru napelnił powietrze.

Szum zbliża się, chmura rośnie, czernieje, nabierając coraz wyraźniejszych kształtów.

To nieprzeliczone stado kruków ciągnie na żer. Donośne ich krakanie słychać na dalekiej przestrzeni. Już wysuwają się naprzód pojedyncze sylwetki czarnych ptaków, zarysowując się ostro na jasnym tle obłoków. Widok ich ponury i smutny, żałobne nasuwa myśli, bo smutną też, choć pożyteczną jest rola, jaką spełniają w przyrodzie. Oto bowiem postrzelona przez myśliwca sarna, leży martwa wśród pobliskich zarośli, kruki więc spieszą, wiedzione hystrym swym zmysłem na sutą ucztę, jaką jest dla nich każda padlina.

Dość duży w swej żałobnej, połyskującej sukience z dziobem grubym i silnym, kruk, jako ptak mięsożerny, obyczajami swemi przypomina drapieżnego orłosepa lub ścierwnika, mimo tego jednak charakterystyczne jego cechy każą go zaliczyć do rzędu śpiewających, jakkolwiek ponurym i niezbyt miłym dla ucha jest głos jego, krakaniem zwany.

Zmyślny i ostrożny na wolności, okazuje kruk wielką pojętność i łatwo nadaje się do obłaskawienia, wycuczając się obok innych sztuczek nawet naśladowania mowy ludzkiej.

## NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

Lecz Karol i Janek mieli tajemnicze minki, które nie uszły uwagi pańienek, co ich upoważniło do oczekiwania jakiego zabawnego figla. Minęła jednak niedziela i cały ranek dnia następnego bardzo spokojnie; po południu nawet Karol był nieobecnym, gdyż pojechał do miasteczka po listy i gazety, skąd wrócił dopiero przed zachodem słońca z dobrze wyładowaną torbą. Towarzystwo całe zastał zgromadzone w lesie, nie brakowało nawet dziadunia i pana Skalskiego. Każdemu więc doręczał zaraz według adresu, co mu pocztą przyniosła. Zygmunt otrzymał też list dużego formatu z licznymi markami i pieczęciami, z których jednak nie rozpoznać nie mógł, tak były dziwnie zamazane.

Gdy rozerwał wreszcie kopertę i przebiegł oczyma pismo, zawołał z miną zdziwienia i urazy:

— Kto to napisał?

Karol i Janek podbiegli z ciekawieni:

— Co takiego, pokaz, pokaz! — i obaj zaczęli czytać list, poczem wzruszyli ramionami.

— Ciekawa rzecz, czyj to dowcip — powiedział Janek.

— Nie mogę się domyślić — dodał Karol. — Może ty Stasiu prędzej się dorozumiesz.

Staś wziął do ręki dziwny list i niebawem wybuchnął głośnym śmiechem.

— Ha, ha, ha!

— To coś wesołego, pokażcie i nam — poczęto wołać ze wszystkich stron.

— Bardzo wesołe, proszę czytać — zawołał Staś.

Zygmunt czerwony od gniewu, chciał wydrzeć niemiłe mu snąc pismo i poszarpać je w kawałki, ale nie dopuszczono do tego. Jeden z chłopców pochwycił papier i odczytał głośno:

Mości panie Zygmuncie! Kto panu powiedział, że to wilk w czystym polu *na kamieniu siedział*?

W polu, upewniam, twarde i stoły i stolki,

I wilk woli już w puszczy wywracać koziołki,

Niż włóczęc się bez celu, narażać swe zdrowie.—

Potem niech się pan spyta, każdy panu powie;



Że jako jest różnica stwierdzona od wieka  
 Pomędzy rodem wilczym, a rodem człowieka,  
 Tak samo jest różnica. (każdy ją wyliczy),  
 Co odróżnia ród brysi, a co znowu wilczy  
 Ale jeżeli panu nie znany ten przedział,  
 To lepiejbyś uczynił, żebyś w domu siedział,  
 Niż szukał silnych wrażeń od Polanki zdala.  
 Bo wyobraźnia czasem dziwnie się zapala,  
 Wieloryba uczyni z mizernego śledzia,  
 Sprawi, że pan baranka weźmie za niedźwiedzia,  
 Biednego psa wiejskiego, za straszego wilka. —  
 A teraz niech pan przyjmie życzliwych rad kilka:  
 Odróżniać trzeba prawdę od złudnych pozorów;  
 Kiedy niema chorego, nie wzywać doktorów;  
 Nie wołać: gwałtu gore! skoro płonie świeczka,  
 Bo inna rzecz wór zboża inna w torbie sieczka;  
 Nie biedz nigdy na oślep za pościągim sławy,  
 Ani skakać przez płoty, kiedy kto kulawy;  
 Nie wszczynać bezpodstawnie na alarm hałasu;  
 Nie straszyć wilczą skórą dziewczynkę z pod lasu!

Życzliwy sługa

Stary Myśliwy.

— Wiem, kto to napisał, wiem — wołał z gniewem  
 Zygmunt, spoglądając na Janka i Karola.

— Czegoż ty od nas chcesz, ani nam do głowy nie podobnego nie przyszło — uniewinniali się obaj.

— Wiesz najlepiej, że nie moja to rzecz rymy składać — dodał Karol.

— A jednak pewny jestem, że to wasze koncepta...

— Ot, zdaje ci się tylko. Przecież masz wyraźnie podpisane: stary myśliwy. Czy to ja jestem stary myśliwy? albo Karol jest nim może, pomyśl tylko... — mówił z najniwiejszą miną w świecie, Janek.

— Więc któż, jeśli nie ty i nie Karol?

— Kto? ja ci powiem — wyrzekł z powagą ten ostatni.

— Naprzykład?

— Najpewniej dziadunio Janka, bo podpisane jest: stary myśliwy, a dziadunio jest przecież wiekowym i wiadomo, że był doskonałym myśliwym.

Ogólny wybuch śmiechu był odpowiedzią na to oznajmienie Karola, a staruszek grożąc filuternie na nosie jemu i młodszemu swemu wnukowi, rzekł z dobrotliwym uśmiechem:

— Tak, tak, najniezawodniej ja jestem autorem tego listu, najpewniej nikt, tylko ja!...

## VIII.

— Więc tedy, moje dzieci, jutro wszyscy ruszamy na wyprawę — mówił dziadunio do licznej gromadki, która go otaczała w ogrodzie.

— Czy i ja też pójdę, proszę pana? — pytał mały Romcio, czepiając się kolan dziadunia.

— A jakże, i ty rybko pójdziesz, i wszystkie dzieci z całej Polanki, nawet te, co przyjechały na kolonję. Pójdziemy tam na te piaski od młyna.

— A co my tam będziemy robili? — pytał Romcio, po raz niewiedzieć już który.

— A no posiejemy las — objaśnił wreszcie dziadunio. — Czy pamiętasz jak zeszłego roku zbieraliście szyszki?

— A pamiętam. To co z tych szyszek?

— Z tych szyszek, moje dziecko, wytrząsnęliśmy nasienie, które teraz zasiejemy, żeby z niego wyrosły drzewa, duże drzewa.

— Proszę pana, czy te piaski pod młynem należą do państwa? — zapytał Zygmunt, stając obok dziadunia.

— Nie, mój chłopcze, to jest własność gromady wiejskiej, jeżeli do takiej wydmy można rościć prawo własności.

— Więc dla czego pan chce zadrzewiać tę wydmy, kiedy pan nie będzie z tego korzystał?

Staruszek popatrzył chwilę w twarz młodego chłopca swym jasnym, pogodnym wzrokiem:

— Widzisz, kochany panicu — rzekł wreszcie — mnie się zdaje, że wszyscy, którzy posiadają własny dom, własny ogród, własny kawałek ziemi, a choćby nie mają nic zgoła, są zawsze obywatelami kraju. Powinni więc dbać o to, żeby ten kraj przedstawiał się oczom jak najwdzięczniej, i żeby w nim przecież coś z ich pracy zostało, aby ei, co po nich nastąpią, nie pomyśleli, że przed nim żyli same niedolegi, próżniaki i niedbaluchy. Czy nie tak samo myślisz, panicu?

Ale zanim Zygmunt miał czas odpowiedzieć, nadbiegła Stasia, która najgorliwiej ze wszystkich pomagała dziadunio wi zeszłego roku w zbieraniu szyszek sosnowych, a teraz z nie-mniejszą gorliwością zajęła się jutrzejszą wyprawą. Stając przed dziaduniem, zawołała:

— Ale proszę pana, jak my zabierzemy wszystkie te małe dzieci. to cóż będzie z naszej roboty? One nie będą umiały tak dobrze, jak my rozsiewać nasienia.

— Dla każdego znajdzie się odpowiednia praca, miła panienko — rzekł z uśmiechem dziadunio — siać sosnę będą ci, co umieją, a ci co nie umieją pracować będą grabiami. Każde z dzieci weźmie swoje małe grabki na ramię, jakbyśmy szli na żniwa, a ruch wszystkim posłużą dobrze.

— O, ja się na to bardzo cieszę. I doprawdy własnym oczom wierzyć nie chciałam, że te drobne, suche nasionka cośmy je z panem przeszłego roku siali, tak ładnie powscho-dziły. Proszę pana, czy my się też naprawdę doczekamy lasu z takich ździebełek? — pytała Stasia.

— Pewnie ja się już nie doczekam — powiedział z uśmiechem staruszek — ale wy będziecie kiedyś spacerowali w cieniu tych sosen.

— Kiedy las podobno bardzo powoli rośnie?

— Żeby wyrósł na starodrzew, trzeba długich lat — objaśniał dziadunio — ten lasek wszakże, w którym się codziennie bawicie, siałem własną ręką, bo taka sama wydma jak ta za młynem, otaczała również Polankę.

— Czy być może; a dawno już jak pan posiał te sosny?

— Było to wkrótce potem, gdy powróciłem z obczyzny, gdzie przebywałem przez kilka lat po wojnie węgierskiej.

Wojna węgierska! magiczne słowo, od którego roz-poczęły się wszystkie najciekawsze opowiadania dziadunia. Więc natychmiast znalazł się Henryk i Karol i młodszy wnuk pana Skalskiego i niektóre z panienek, a wszyscy po-częli się wypytywać, i jak to mówią, wyciągać dziadunia na słówka.

— To gdzie po wojnie węgierskiej pan udał się? — za-pytał Karol.

— Jak nas Niemcy pobili i poszliśmy w rozsypkę, ka-żdy z nas pociągnął, gdzie mógł. Ja, idąc za przykładem innych, wywędrowałem do Francji i dostałem się do Paryża.

— Musiał pan być bardzo zadowolony, że mógł poznać to miasto — wtrącił Zygmunt.

— Chociaż byłem rzeczywiście ciekawy poznać Paryż — odrzekł z uśmiechem dziadunio — jednak rozglądać się w je-go osobliwościach nie wiele miałem sposobności, bo to wszy-stko kosztuje, a ja, moje dzieci, byłem bez grosza w kieszeni. Należało więc przedewszystkiem pomyśleć o jakim takim spo-sobie zdobycia codziennego chleba.

Ale do czego się tu wziąć w takim ogromnym mieście, bez znajomości, bez stosunków, bez rekomendacyi? Zaczęło się więc od tego, że trzeba było najeść się biedy okrutnej, po same uszy. Ale, że było się jeszcze młodym, więc stawiało się ostro biedzie, i nosiło uszy do góry.

— Przecież w Paryżu musieli być i Polacy, czy nikt z nich nie mógł ułatwić panu wyszukanie jakiego zajęcia — zauważył Henryk.

— Owszem, było tam naszych dosyć, ale najwięcej takich, którym również brakowało chleba. Spotkałem się to z tym, to z owym. Powiadają mi, że się utworzył jakiś ko-mitet w celu dawania wsparcia potrzebującym. Ale mnie złość porwała okrutna. Cóż to? u stu tysięcy! przepraszam



was, moje dzieci, ale rozgniewałem się ogromnie. Cóż to? — pomyślałem sobie — jestem żebrakiem, czy kaleką, ażeby miał brać jałmużnę. Więc choć od kilku dni żywiłem się tylko suchym chlebem, nie chciałem przyjąć ani grosza, ofiarowanego w ten sposób.

— To dzielnie, co się nazywa! — zawołał Henryk z uniesieniem.

— Podobało ci się to paniczu? tem lepiej — rzekł z zadowoleniem dziadunio. — Więc tedy szukam dalej zajęcia, szukam i znaleźć nie mogę. Aż raz wieczorem, smutny i osłabiony tak nadaremnie dreptaniem, zwłaszcza, że i głód przypominał mi się dotkliwie, wstąpiłem do jakiejś restauracji, aby trochę spocząć i odetchnąć. Naturalnie, nie była to żadna wykwintna restauracja, tylko skromna garkuchnia dla biednych robotników, którzy się tam wieczorem na obiad schodzili. I teraz izba była pełna, ludzie, przyodziani w robotnicze bluzy, jedli, popijając tanie wino, bez którego żaden Francuz nie rozumie obiadu. Wcisnąłem się w najciaśniejszy kąt, aby na siebie nie zwracać uwagi, gdyż nie miałem nawet tyle, by kupić kawałek białego chleba i kubek wina. Siedziałem tedy z głową zwieszoną, tak zinęczony i wyczerpany, iż nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, co się wkolo mnie działo. Z osłupienia tego wyprowadził mnie głos jakiegoś robotnika, który usiadłszy obok, trącił mnie w ramię i zapytał:

— A co to panie?

Spojrzałem na niego, nie rozumiejąc czego właściwie chciał odemnie, aż powtórnie zapytał:

— Co panu jest, mój młody panie?

— Nic mi nie jest — odpowiedziałem.

Robotnik o poczciwej, inteligentnej fizygnomii, nie przestawał mi się przyglądać.

— Czy pan ma jakie zmartwienie? — zapytał znowu po chwili

Uśmiechnąłem się smutno.

— Zmartwienie, jakiego zapewne nie jeden z panów doznawał: szukam pracy, a nie mogę jej znaleźć.

— Tak, rzeczywiście, to trudno bardzo — szepnął jakby do siebie.

— Pan zapewne cudzoziemiec? — rzekł, uderzony niezawodnie mojem akcentem.

— Tak — odrzekłem.

— W takim razie jeszcze trudniej zdobyć cokolwiek. A nie ma pan tu w Paryżu nikogo znajomego?

— Nikogo.

— Jaki to rodzaj pracy chciałbyś pan znaleźć?

— Jakikolwiek, aby tylko starczyło na skromne życie.

— Umiałbyś pan na przykład pracować w gruncie, kopać, wywozić ziemię taczkami?

— Na to nie trzeba chyba wielkiej umiętności — odrzekłem z uśmiechem.

— Nie, ale chodzi o siłę.

— Niedawno jeszcze byłem dosyć silny.

— Rozumiem; o sile niema co mówić bez dobrego talerza jarzyny z kawałkiem mięsa. Bo widzi pan — mówił dalej ów poczciwiec — ja jestem pracownikiem u jednego z najznakomitszych tutejszych ogrodników i spodziewam się, a nawet mam zupełną pewność, że dla pana znajdę w naszych ogrodach pomieszczenie. Od jutra właśnie potrzebni nam są robotnicy, wprawdzie do zupełnie prostego zajęcia, ale pan chce się tego podjąć.

— Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyś mnie pan tam umieścił.

— A zatem jutro rano niech pan tutaj będzie, wstąpię i zabiorę pana. Tylko jedna uwaga.

Słucham pana!

— Niech pan zamieni swoje ubranie na bluzę robotniczą; nie będzie się pan tak wśród innych odznaczał.

— Uczyniłbym to chętnie, nie wiem tylko czy zaraz będę się mógł z tem załatwić — rzekłem.

— To nic. Jutro, skoro otrzymam pewność przyjęcia pana do naszych ogrodów, polecę naszemu gospodarzowi zając się przebraniem pana.

(d. c. n.)

## NIEBO W MARCU.

Z gwiazdozbiorów większych, które świecić będą w marcu, na uwagę zasługuje gwiazdozbiór Oryona, oraz najświetniejsza z gwiazd (w gwiazdozbiórze Psa Wielkiego) — Syryusz; gwiazdy te zachodzą będą około północy.

Dnia 20 marca o godz. 3-iej po południu słońce będzie na równiku, co zwiastuje początek wiosny oraz porównanie dnia z nocą, poczem na półkuli północnej dzień będzie dłuższym od nocy.

Z planet wielkich mogą być widzialne w marcu: Merkury, Wenus, Jowisz i Saturn. Merkury może być obserwowany gołym okiem przy końcu marca, jako mała gwiazdka, świecąca przeszło godzinę po zachodzie słońca. Wenus w tymże czasie świeci przez godzinę po zachodzie słońca. Jowisz świeci przez noc całą i łatwo może być poznany po silnym, białym nie migocącym blasku; znaleźć go można w pasie równikowym nieba w gwiazdozbiórze Panny. Saturn w dniu 1 marca wschodzi o godz. 2 po północy, potem wschód jego jest coraz wcześniejszy, tak iż w końcu miesiąca przypada o godz. 12 po północy, zachodzi rano. Pozostałych trzech planet: Marsa, Uranusa i Neptuna — dojrzeć w marcu nie można.

**Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY, na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

**TRĘŚĆ:** Aleksandra z Chomętowskich Borkowska (z portretem). — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otelutaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Ołyka (z ryc.) — Na żer (z ryc.) — Na polance, powieść E. Jerlicza. — Niebo w marcu. — **Dodatek:** U cioci Polci (z ryc.) — Jakim sposobem nabywamy doświadczenia? — Mrówka, wiersz przez E. K. Gołąbek Bożenny. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia robotników. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



## U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

Kilka następnych dni pięknej pogody dzieci spędzały prawie ciągle na świeżem powietrzu. Papierowe jednak zabawki nie poszły w zapomnienie, gdyż nasi przyjaciele odkryli wkrótce, że równie dobrze można się nimi bawić na dworze jak w domu. Henryk przyszedł do przekonania, że na przechadzkach pociski z papieru są nieocenione. Napotykał mnóstwo rzeczy, w które chętnie celował, a że rzucanie kamieniami było u cioci Polci zabronione, wprawił się wkrótce w zręcznym rzucaniu swej papierowej strzały.



fig. 1.

Zosia lubiąca niezmiernie polne kwiaty oraz mchy i paprocie leśne, znajdowała, że koszyczek papierowy przydałby się bardzo na chowanie tych skarbów, zerwanych w lesie. Ciocia Polcia pokazała jej jak zrobić kabłączek ze złożonego w kilkoro papieru i przyszyła go mocno do koszyczka, z czem stał się bardzo wygodny.

Kazio przestał się bać pukawek z papieru, a wracając czasem z długiej przechadzki, gdy czuł się już trochę zmęczonym lub głodnym, ciocia Polcia wydobywała wnet nieszkodliwy pistolet, a nasz bohater strzelając i maszerując zapominał o zmęczeniu i głodzie.



fig. 2.

Nietrudno chyba się domyśleć, jakie były ulubione zabawki małej Irenki? Nie spotykało jej się inaczej jak z papierową laleczką lub z młynkiem kręcącym się na patyczku.

Upłynął więc tydzień jeden i drugi, a dzieci czuły się coraz szczęśliwsze na wsi; im więcej poznawały ciocię Polcię, tem

więcej przywiązywały się do niej, a i ciocia pokochała je czule.

— Nie wiem jak to było kiedyśmy nie mieli papierowych zabawek — rzekła raz Zosia, wybierając się na zwykły spacer.

— Nie wiem jakby to było, gdybyście nie mieli cioci Polci — powiedziała niania.

— A myśleliśmy jadąc tu, że nie będziemy jej lubili — zawołał Henryk.

— A tak, pamiętacie, zdawało się nam, że ciocia będzie zła! — rzekł Kazio.

— Ciocia Polcia zła, jak to zabawnie brzmi — i wszystkie dzieci roześmiały się szczerze.

— Kto mnie woła? — rzekła ciocia, wchodząc do pokoju.



fig. 3.

Dzieci spojrzwały po sobie, ale nie pisnęły słówka. Na szczęście ciocia Polcia nie czekała na odpowiedź i nie zauważyła ich pomieszania.

— Czy widzicie, co się stało? — rzekła, wskazując na okno.

Dzieci poskoczyły, spoglądając ciekawie przez szyby. Czarne chmury zakryły całkowicie błękit nieba i kilka ciężkich kropli deszczu upadło już na ziemię, ale ku wielkiemu zdziwieniu niani, mała gromadka zamiast narzekać, klasnęła w ręce, wołając radośnie:

— O jak to dobrze! będziemy znów robili papierowe zabawki, bo ciocia już zapewne papier sprowadziła z miasta.

— Mam go już tak dużo, że sędzę, iż nam na długo wystarczy. Możemy nawet rozpocząć zaraz — rzekła ciocia — sprzątnij ze stołu Kasiu, a ty Henryku przynieś krzesła. Zosiu, poproś niani o łokieć i słoiczek z gumą.

W mgnieniu oka stół został sprzątnięty i czworo dzieci zasiadło w okóło niego.

— Będziemy dziś pracowali nożyczkami, i musicie mi przyrzec wy troje starszych, że będziecie bardzo uważni. Jeśli zaczniecie swawolić, przerwę robotę. Ale sędzę, że mogę wam zaufać.

— Będziemy uważać — powiedziały dzieci.

Ciocia Polcia dała każdemu parę nożyczek i położyła na stole kilka arkuszy kolorowego papieru.



fig. 4.

— Cóż najpierw zrobimy?

— Na początek, dla nabrania wprawy, zrobicie coś co się mamie przyda. Trzeba najprzód uciąć cztery paski z papieru, każdy długi na jedenaście cali i trzy ćwierci, a szeroki na dwa i ćwierć. Weźcie każde jeden pasek a Irenka niech weźmie mój, gdyż nie ma nożyczek. Złóżcie papier we dwoje, kolorową stroną do środka. Nazwiemy jeden koniec a drugi b (fig. 1). Teraz trzeba pociąć ten papier na wąskie paseczki, tak, aby się zrobiła frendzelka; ale uważajcie żeby nie przecinać go do same-



go końca, tylko troszkę dalej niż połowa szerokości. Te paseczki muszą być równe i tak wąskie, żeby się ich zmieściło aż 12 na jeden cal.

Dzieci zabrały się z uwagą do roboty.

— A teraz rozłóżcie starannie papier, żeby się nie podarł, i złożcie go odwrotnie tak, aby kolorowa strona była na wierzchu. Dwa brzegi trzeba lekko posmarować gumą, żeby się trzymały, a nim guma wyschnie poszukajcie mi czegoś okrągłego tej grubości co świeca.

Dzieci zerwały się z krzesel i poczęły się rozglądać po pokoju. Po chwili Henryś wrócił z małą linijką, a Zosia z okrągłym pudełeczkiem; ale bystre oczki Kazia spostrzegły na półeczce świecę. Chłopiec z tryumfem przyniósł ją cici, która zaczęła okręcać naokoło niej papierową frendzelkę. Zosia przypatrywała się chwilę w milczeniu, aż końcu rzekła:

— Zdaje mi się, że zgaduję co ciocia robi, taką samą frendzelką kucharka owija kość u pieczeni.

Henryś zaczął się śmiać.

— A na cóż wtedy świeca potrzebna? — zawołał.

Zosia zarumieniła się, ale ciocia odrzekła:

— Masz rację, Zosiu, można tę frendzelkę użyć do pieczeni, ale okręcona koło świecy, może zastąpić profitkę (fig. 2).

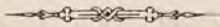
— Musimy pokazać ją mamie skoro wrócimy.

— Teraz spróbujemy coś trudniejszego — rzekła ciocia. — Henryś odetnie znów cztery paski papieru, jak poprzednie, a złożycie je kolorową stroną na zewnątrz.

— Czy trzeba także pociąć je na paseczki?

— Tak, ale tym razem ukośne (fig. 3). Teraz rozłóżcie papier na stole, podnieście delikatnie za pomocą śpilki lub końca ołówka drugi pasek, który nazwiemy *a* i zagnijcie go w tył (fig. 4), potem odegnijcie czwarty pasek, szósty i t. d.

(d. c. n.)



## Jakim sposobem nabywamy doświadczenia?

— Patrz-no Zosiu—mówił Ludwiś—jakże ci chłopcy od sztukatora są nieroztropni! Przyglądam się im już dość długo, i domyślałam się, że przygotowują gips na odlewy, tam w kącie na podwórku, ale zamiast rozmoczyć od razu w wodzie większą ilość, mieszają potrochu i muszą ciągle chodzić tam i napowrót.

— To prawda — odrzekła Zosia — takie duże chłopaki, a nie pojmują tego, że gdyby od razu przygotowali zapas mokrego gipsu na cały dzień, to mieliby daleko łatwiejszą robotę.

Zganiwszy w ten sposób pracę chłopców, dzieci zajęły się czemś innym i niedługo zapomniały o robotnikach z podwórza.

W parę dni potem usłyszał Ludwiś, jak kucharka skarżyła się na mysz, która wygryzła dziurę w podłodze, wchodziła do spiżarni i psuła chowane tam zapasy.

— Ależ ja temu zaradzę — pocieszał ją Ludwiś — niech mi tylko Agnieszka przyniesie trochę gipsu od sztukatora z oficyny.

Agnieszka zbiegła na dół i w parę minut przyniosła

na miseczce garstkę białego proszku. Ludwiś z całą powagą wziął się do roboty, nalał wody i wymieszał doskonale drewnianą łyżeczką. Już zabrał się do zalipiania dziury, kiedy przypomniał sobie, że dobrze byłoby nasypać wpierw do niej tłuczonego szkła. Widział bowiem, jak to robił na wsi stary ogrodnik, dowodząc, że to najlepszy sposób odstręczenia myszy, bo gdyby do tej samej norki powrócić chciała, pokaleczyłaby sobie łapki i nosek.

Pobiegł więc do kuchni, wyszukał pękniętą szklanekę, potłukł ją ostrożnie na drobne kawałeczki i wsypał do mysiej jamki, następnie zwrócił się do przygotowanego gipsu, aby dokończyć rozpoczętej roboty. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy zobaczył, że ciasto gipsowe stwardniało i stało się zupełnie nieprzydatne do lepienia.

Teraz dopiero przypomniał sobie owych chłopców, których mniemaną nieroztropność zganił przed paru dniami. Oboje z Zosią, która się przyglądała zajęciu brata, zawstydzili się i przyznali, że największą nieroztropnością jest wydawać sąd o rzeczy, której się nie zna.

Z własnego doświadczenia poznali bowiem, że gips musi być użyty zaraz po zmieszaniu go z wodą, gdyż prędko twardnieje i staje się niezdatnym do ugniecenia.



## Mrówka.

### III.

Koniku mój drogi,  
Twój widok tak srogi,  
Me serce do głębi  
Przenika.

Tyś biedny, zgłodniały  
Od zimna drżysz cały,  
A pszczołka ci ul swój  
Zamyka.

Do domku pójdz mego!  
Me siostry ustrzegą  
Od głodu i chłodu  
Do lata.

Ty ucz się pracować,  
I sił nie marnować  
To będzie najlepsza  
Zaplata.

Lecz biada, ach! temu,  
Kto swemu bliźniemu,  
Ni dłoni nie poda  
Ni strawy,

Gdyż często Pan z Nieba  
Poskąpi mu chleba,  
I wzrok swój odwróci  
Łaskawy.

Bo miłość i praca  
U Boga popłaca,  
Lecz praca z miłością  
Do pary.

Za litość — litością,  
Za miłość — miłością,  
Nagroda według  
Ofiary!

E. K.



## GOŁABEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg).

— To wszystko było tylko udane, żeby nas oszukać. Ledwie uwziłszy parę staj drogi, gdy zaczęli między sobą mówić językiem, którego nauczyłem się przecież dobrze tam w cygańskim obozie. Zrozumiałem też odrazu, że nie mają oni nic poczciwego na myśli. Lecz Najświętsza Panna dopomogła mi, żem nie dał poznać nic po sobie, a nawet zapytałem.

— Jakaż to dziwna mowa waszmościów; jest-li francuską czy włoską, bo nic jej nie rozumiem.

— To jest mowa arabska — odrzekł jeden z nich. Tam w Palestynie najwięcej się jej słyszy, to też przywykliśmy używać jej między sobą.

— Oho — pomyślałem — toć wyraźne kłamstwo! Udałem jednak, że uwierzyłem temu, i tak dowiedziałem się wszystkiego, co ci zbrodniarze zamysłają uczynić. Niech pani radzi, niech pani pomoże! Nieszczęście grozi naszym przyjaciółom! Oni chcą złupić zamek Ostrobrodzki!

— Ależ chłopcze zastanów się, cóż ich dwóch, choćby też byli najgorszymi, zrobić mogą, kiedy zameczek jest otoczony murami i załogi w nim też niemało.

— Oni wszystkiemu dadzą radę, wszystko naprzód obmyślili. Przez swoich szpiegów wywiedzieli się, czego my nawet nie wiemy, że na to święto odpustu pan Ostrobrodzki zwolnił załogę ze służby, że zameczek stoi dziś bezbronny. Nie sami też tylko we dwóch chcą urządzić napad, bo oni należą do wielkiej zbrojnej bandy, z którą mają się złączyć w najbliższym lesie.

— O mój Boże — zawołała Ludmiła, wybuchając rzewnym płaczem. Mateczko kochana, przecież my wiedząc teraz wszystko, nie możemy pozwolić, aby ci złoczyńcy spełnili swe zamiary. Trzeba koniecznie zawiadomić państwa Ostrobrodzkich.

— Właśnie o tem myślę i poniosłabym każdą ofiarę, by ochronić zacnych naszych przyjaciół od zła, które im grozi; ale jak to uczynić? Nawet na rączym siwku, który jest najlepszym koniem w mej stajni pacholek nie zdąży na miejsce. Prawdziwe nieszczęście, że tak mało zostaje nam czasu, gdy aż dziesięć mil dzieli Kalinówkę od Ostrobrzegu.

— A ja myślałem, że pani znajdzie jakowąś radę i biegłem co sił — mówił Stefan smutnie. — Jeszcze tam na bagnach gdym poznał co się święci, chciałem z rozmysłem pójść w najgorsze miejsce, które mi dawniej Walenty wskazał, i choćbym sam zginął, wybawiłbym jednak zacnego rycerza i jego rodzinę od zguby. Ale mi coś w duszy szeptało, bym tego nie czynił, że to byłoby niegodnie.

— I dobrze zrobiłeś, żeś usłuchał głosu sumienia swego, moje dziecko! Mam też tę mocną wiarę, że w ręku Boga spoczywa los wszystkich ludzi, a gdy będzie taka wola Jego, nieczne zamiary opryszków spełzną na niczem.

— Jakże to oni jednak pięknie mówić umieli —

wtrąciła Grzesiowa — trudno aż uwierzyć, że nie byli w Ziemi Świętej.

— Bo widzicie, stary umie czytać więc, dowiedział się tego wszystkiego z pamiętników prawdziwego pielgrzyma, którego banda cygańska ograbiła, i któremu też zabrali te świętości, jakimi nas obdarzyli. Mówili o tem między sobą, śmiejąc się, że ten pielgrzym oddał im wielkie przysługi, bo już nie raz z tego korzystali.

— A to niecnoty, Pana Boga się nie boją — oburzała się stara kobieta.

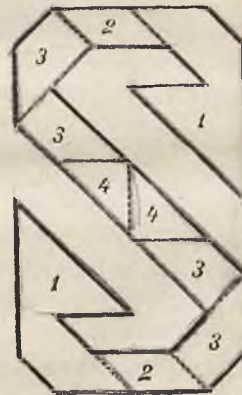
— Więc my nic matuchno, nie całkiem nie możemy uczynić dla naszych przyjaciół? — pytała Ludmiła drżącym od wzruszenia głosem.

— Rozumiesz sama przecież, moja córko, że aby ostrzedz pana Ostrobrodzkiego o zamierzanej na jego zamek napaści, trzeba posiadać możność przesłania mu zawiadomienia i to koniecznie dziś jeszcze dość wcześnie, przed nocą. Pozostaje nam więc jedynie modlitwa, aby Bóg litościwy, zesłał im jakową pomoc. Dla Niego nie ma nic niepodobnego, a jakże to uczynić? Dziesięć mil, to szmat drogi nielada.

— O czemuż nie mogę zamienić się w ptaszka — zawołała Ludmiła, w szlachetnem uniesieniu. Czemu nie mogę pofrunąć w jednej chwili do Ostrobrzegu i opowiedzieć im tam o wszystkim.

(d. c. n.)

## ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA.



Wyciąć z kartonu pojedyncze części podług oznaczonych linii i ułożyć z nich kwadrat.

## ZAGADKA. przez Murzyna z nad Kongo.

Jestem tylko połową maleńkiej całości,  
A jednak dźwigam częste ciężary mądrości.

## PROZA DO PRZEROBIECIA NA WIERSZE.

Puszczyk z Pilawy dla Wajdeloty.

W każdej porze roku i sercu i oku miłe wyspy szczęśliwe,  
gdy z gór Kolony wita was przychodzień, chwytą mu wraz źrenice  
nagły urok i w dumy tajemnicze myśl pogrąża. Tu cichego  
oblicza szklane morze, na falach drobnych jak dolki uśmiechu,  
odbija wierzchołki gór okolicznych, z którymi łagodnie wschodnie  
rajskie wody zdają się igrać.



wych wrogów, przeszła szyję przechylonego nad chłopcem przyjaciela mego. Zachwiał się i jęknął boleśnie. Poskoczyłem mu na pomoc, zsadziłem go z siodła. Krew lała się z rany obficie, a po chwili bezwładnie padł w objęcia moje. Poznałem zaraz, że rana śmiertelna i, że chwile jego policzone.

Pojąc łatwo jaką boleścią widok ten przejmował moje serce. Gdym zdejmował z niego uciskający go pancerz Jędrzej ujął mnie za rękę i słabym głosem mówić zaczął:

— Do domu! chcę przed śmiercią widzieć żonę i dziecko!

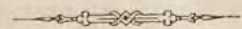
Kazałem żołnierzom zrobić naprędce nosze z gałęzi, położyliśmy na nich rannego i powoli, unikając wszelkiego prędszego ruchu, któryby stan jego mógł pogorszyć, udaliśmy się drogą do Kalinówki, którądy właśnie przed kilku godzinami uciekali rozgromieni przez nas Tatarzy.

Smutny był to pochód; przodem szło czterech żołnierzy niosących dogorywającego niemal Jędrzeja, za nim prowadzono jego rumaka, który jakby odczuwając niebezpieczeństwo grożące panu, szedł ze łbem smutnie spuszczoneym. Zawieszony na siodle hełm, pancerz, miecz, krucica uderzając jedno o drugie wydawały dźwięk ponury, niby dźwięk dzwonów pogrzebowych. Obok noszy postępował główny sprawca nieszczęścia, ów chłopak odebrany z rąk tatarskich kosztem życia przyjaciela mego, biedak głośnym co chwila zawodził płaczem. Po drodze spotykaliśmy gromadki zbiegłych przed Tatarami ludzi, ciekawość skłaniała ich zbliżać się do naszego orszaku a widok bladej twarzy rannego rycerza poruszał głęboko. Klękali pobożnie wzdłuż drogi, odmawiając modlitwy za konających.

Ujrzałem nareszcie upragniony las, za którym leży Kalinówka. Ciężki niepokój ścisnął mi serce; jak uprzedzić nieszczęśliwą panią Zalitowską o strasznym ciosie mającym spaść na nią. Gdyśmy jednak wyszli z lasu żal i niepokój ustąpiły przed uczuciem przerażenia na widok jaki przedstawił się naszym oczom: wioski nie było już śladu, tylko dymiące zgłiszcza świadczyły o przejściu dzikiej hordy tatarskiej.

— Czy otoczywszy wieś, Hanny i Ludmiły nie uprowadzili z sobą pohańcy? — pytała blada ze wzruszenia pani Ostrobrodzka.

(d. c. n.)



### ZAGADKA (E. L.)

Niemilą bywam nawet w ustach małych dzieci,  
Dla starszych mam znaczenie groźnego widziadła.  
Bo gdzie tylko me miano wśród mowy uleci,  
Tam napewno już krzywda, albo waśń się wkradła.  
A jednak gdy otworzysz stare ojców dzieje  
Serce twoje napelni zaraz cześć głęboka,  
Bo tam, toż samo miano, jak gwiazda jaśnieje,  
Wspomnieniem myśliciela, mówcy i proroka.

### LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Promyczek z Pilawy dla Giermka.

*Bołostaw  
ostepes  
gauler  
zofia  
34  
ap  
4*

Zastąpić kropki literami, aby pierwszy wiersz oraz pierwsze litery złożyły imię kilku królów polskich.  
2) W grec. mitologii słynny śpiewak.  
3) Figura w szachach. 4) Wyspa na m. Egejskiem. 5) Ptak, symbol mądrości. 6) Część funta. 7) Karta do gry. 8) Spółgłoska.

### LAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

Przez Władkę B.

. . . . .  
. . . . .  
A \* \* \* \* \* m  
. . . . .  
. . . . .

Zastąpić kropki i gwiazdki literami, ażeby litery oznaczone gwiazdkami złożyły nazwę stolicy państwa w Europie. 1 rząd. Rzeka we Francyi. 2) Miasto w gub. Kijowskiej. 3) Dopływ Dniepru. 4) Półwysep archipelagu Aleksander. 5) Miasto pamiętne bitwą z Tatarami w r. 1506. 6) Dopływ Bugu. 7) Miasto we Włoszech. 8) Wyspa Jońska. 9) Rzeka w kraju Zakaukaskim.

### Skrzynka do listów.

Za przysłane Wieczorom Rodzinnym tak liczne życzenia z powodu świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku najserdeczniej dziękujemy, składając nawzajem wszystkim naszym dawnym i nowym czytelnikom najlepsze życzenia noworoczne.

Miciowi P. jak również siostrzycze jego Nusi dziękujemy także za życzenia noworoczne, radzi jesteśmy, że Micio korzysta ze wskazówek „Cioci Polci” i w czyn je wprowadza. Nusi życzymy by jak najprędzej nauczyła się pisać równie dobrze jak braciszek i sama napisała do nas. A teraz prosimy was jeszcze byście podziękowali szanownemu swemu ojcu za życzliwą pamięć o naszej redakcyi.

Lamigłówkę Złotego gwoździka pomieścimy chętnie o ile przy bliższem rozpatrzeniu okaże się odpowiednią do druku. Pismo tak wyraźne i czyste, iż nie możemy się powstrzymać od pochwalenia go.

Otrzymałmy nadto kwadrat magiczny od Złotego żuczka i lamigłówkę w kwadracie od Rajmunda z K.

Nazywasz mnie dobrą Winu z Łosz., że nie odlatuję od was ale zachęcam do pracy i wytrwałości, a ja powiem nawzajem, że wy wszyscy dobrocią waszą wszelką chęć ucieczki oddalacie odemnie za góry i lasy. Jeżeli masz tylko ochotę to spróbuj pisać lamigłówki lub szarady, być może, iż ci się próby udadzą.

Za ładnie napisany i miłutki liścik Myszki z Chorostka dziękuję bardzo, a mając nadzieję, że i nadal pisać do mnie będziesz, proszę cię, abyś mi doniosła wiele masz lat i czy masz więcej rodzeństwa? Rozwiązanie lamigłówek dobre.

Smutnej ptaszyni wdzięczną jestem za dowód zaufania. Przysłane próby okazują pewną zdolność do wyrażania uczuć w formie wiązanej, ale forma ta wymaga jeszcze wielkiej pracy i kształceniu, zarówno w teoryi jak i na dobrych wzorach, głównie uwagi na rytmikę wiersza, która najbardziej szwankuje, wobec tego o drukowaniu nadesłanych próbek mowy być nie może. Niechaj jednak ta odpowiedź nie zniechęca Smutnej ptaszyni, której życzę, by przydomek smutnej na wesolej zmieniła, w tak młodym wieku o wiele to stosowniejszy.

Lamigłówki Niezabudki oddałam w redakcyi.

*Łaska*



**KWADRAT MAGICZNY.**

p. Aleksandra W.

a a a a    Dawny instrument muzyczny.  
 a a r r    Kraj w Azji nad zat. Perską.  
 r m n n    Rodzaj sztucznego ognia.  
 o r i i    Państwo w środ. Indyach.

Każdy kwadrat w sobie chowa  
 Cztery z czterech głosek słowa,  
 Ale każde z nich tak złoś  
 Byś je czytał wszerz i wzdłuż.

**ROZWIĄZANIA DO Nr. 9.**

Zagadki: *Kozak.*

**Łamigłówki kryształowej**

**K**  
 Ł o ś  
 K o r e a  
 K a r n i o l  
 M a g d e b u r g  
 C i e r p l i w o ś ć  
**K o r n e l U j e j s k i**  
 K r a g u j e w a c z  
 P o r z e c z k i  
 P o d j a z d  
 M a s k a  
 O k a  
 i

*Łamigłówki samogłoskowej:*

A r a  
 H a g a  
 A g a w a  
 P a n a m a  
 A r a r a t  
 G a l a r  
 A g a t  
 T a k

**OD REDAKCYI.**

Redakcja składa najserdeczniejsze podziękowania wszystkim czytelnikom *Wieczorów*, którzy wzięli udział w nabożeństwie żałobnym za ś. p. Aleksandrę Borkowską i w jej pogrzebie, oraz tym wszystkim, którzy uczcili pamięć tej czcigodnej i zacnej matrony.

Prawdziwą pociechą w głębokim naszym smutku był widok tej wdzięcznej dziatwy, która z wieńcem od *dzieci polskich* przybyła do kościoła oraz te rzędy panienek, młodzieży i dziatwy z ochronki. Świadczy to jak kochaną i ocenianą była zmarła przez tych, dla dobra których pracowała niemal życie całe.

Przykład jej, uczucia i zasady przez nią wyznawane, pracą naszą nadal kierować będą.

**Skrzynka do listów.**

**Zosi K...** zagubiony numer wysłano. W arytmogryfie liczby nie mogą iść w porządku alfabetycznym, bo wówczas rozwiązanie nie przedstawiałoby żadnej trudności, gdyż sposób rozwiązania byłby wszystkim wiadomy.

**Wiewióreczce z Boru** wysłaliśmy początek drukującej się obecnie powieści i z przyjemnością na liścik tak starannie pisany odpowiadamy. Witamy więc nową, a mamy nadzieję, że i stałą korespondentkę *Wieczorów*, bo o ile czas ci pozwoli spodziewamy się, że zechcesz do nas pisywać często.

**Kurka z Polesia** listy do *Jaskółki* może przysyłać do redakcyi naszej. Łamigłówkę przejrzymy i jeżeli okaże się odpowiednią — pomieścimy w *Wieczorach*.

Uprzejme i życzliwe wyrazy w kartce **Marysi** miło nam było odczytać.

**Maryni Ł.** Początkowe siedem numerów wysłaliśmy pod jedną opaską, może więc spóźniły się nieco i ósmy numer je wyprzedził, prosimy o zawiadomienie, czy dotąd jeszcze nie przyszedł, bo w takim razie musimy upomnieć się o nie na pocztę. Łamigłówki o ile tylko odpowiednie będą do druku, pomieścimy chętnie.

**Aleksander W. z Tr.**, obdarzył nas znowu bardzo zajmującym listem; dzieląc się z nami nie tylko wrażeniami, ale i opisem odległej miejscowości, którą zamieszkuje. Radzibyśmy zadość uczynić twemu żądaniu i pośredniczyć w korespondencji, z którym z naszych czytelników, ale dla braku miejsca w piśmie, podjąć się tego nie możemy.

**Jedna z prenumeratorek** zadaje nam tak liczne i różnorodne pytania, że wątpimy czy odpowiedzi na nie przyniosą jej jakakolwiek korzyść lub przyjemność. Odpowiadamy tylko na poważniejsze. Pseudonimu *Or-ot*, używa poeta Artur Oppman, Anatol Krzyżanowski — p. Natalia Krzyżanowska. O jabłkach mówi się kosztele. Od słowa wysłać, mówi się wysłać. Londyn krótki, Londyn długi wyrażenie giełdowe, oznacza weksle płatne w dłuższym lub krótszym terminie w Londynie.

Dobre rozwiązania przysłały **Winia z Łoszkowic** i **Gwiazdeczka z Zagórzan**.

**Niezabudce z nad Teterewa.** Rozczulił mnie i zajął twój liścik i całym sercem witam cię jako nową korespondentkę, a spodziewam się, że i do liczby stałych zaliczyć cię będę mogła. Oczekiwać też będę zapowiedzianych listów twoich siostrzyczek. I sama bardzo się ucieszyłam i opowiadałam w redakcyi z jakim zajęciem, czytujecie *Wieczory* i z jaką wyczekujecie na nie niecierpliwością. Szarada będzie pomieszczona, jeżeli tylko zostanie uznana za odpowiednią. Słę wam serdeczne pozdrowienie i pamięci się polecam.

Miłym obdarzyłaś mnie liścikiem, pisany porządnie na bardzo ładnym papierze, ale **Czup... Ukraińskie** to bardzo brzydki pseudonym i szczerze ci radzę zamięń go na inny, bo przekonana jestem, że nie stosowny on dla twojej osóбки. Do grona kochanych moich korespondentek zaliczam cię jak najchętniej i z wielką przyjemnością. Początek powieści i zaginiony numer *Wieczorów*, redakcja wysłała.

**Zosi J. w P.** Wdzięczna za pamięć donoszę ci, że miewam się dobrze, pracuję dość dużo i z wielkiem zajęciem czytuję *Wieczory*. Rozwiązanie szarady dobre. Na przyszły raz droga Zosiu proszę cię, byś do mnie obszerniej napisać zechciała.

**XYZ.** Łamigłówki złożyłam w redakcyi. W Polsce przedstawicielami humanizmu jako kierunku pedagogicznego byli Górski i Herbest.

*Jaskółka*